

COVID-19 wśród nas nie ma, bo od razu trafiają w takie miejsca. Nie widzimy ich na co dzień.

Chciałam Was prosić – Jeśli ktoś absolutnie nie wierzy w istnienie zagrożenia, to proszę go, aby miał chociaż na tyle pokory, by stosować się do zaleceń tych, których zobowiązani jesteśmy słuchać.

Po drugiej stronie frontu – moja choroba

To było w trzecim, ostatnim miesiącu pracy. Miałam akurat dyżur. Gdy pojawił się mój dodatni wynik, kazano mi natychmiast odejść od biurka. Pamiętam, że nawet nie dokończyłam zdania w dokumentacji. Pozwolono mi jeszcze zabrać osobiste rzeczy i zapytano, czy wybieram izolatorium czy pobyt na oddziale. Wybrałam swój oddział, żeby nadal być przy chorych. Czułam się dobrze, więc z tej drugiej strony frontu nadal wypełniałam proste czynności: podłączałam kroplówki, mierzyłam ciśnienie, roznosiłam posiłki, doglądałam chorych. Wtedy też zobaczyłam, jak bardzo potrzebują obecności – chwili uwagi, rozmowy, aby z nimi po prostu być.

Potem zaczęły się objawy i przeniesiono mnie do osobnego oddziału, dla zakażonego personelu.

Mój przebieg choroby był nietypowy, bo bardziej neurologiczny. Przez tydzień bóle i zawroty głowy niereagujące na leki, silna senność, przesypiałam większość doby. Problemy z pamięcią, przypominaniem sobie nazw wyrazów, nie całkiem rozumiałam co czytam - utrzymywały się jeszcze wiele tygodni po wypisaniu ze szpitala. Wykluczyło mnie to z wykonywania zawodu na długi czas.

Pamiętam, że tam, na oddziale, w te najgorsze dni, w zasadzie było mi wszystko jedno, co dalej będzie się ze mną działo. Chciałam tylko spać. Jakoś tak Pan Bóg dał łaskę, że nie było w tym lęku. Może dzięki poczuciu, że robiłam to, co trzeba, byłam gdzie trzeba, do końca. Że nie stchórzyłam. Chciałam się tym podzielić zwłaszcza z tymi, którzy się boją. Myślę, że za wiernością swojemu powołaniu idą też potrzebne łaski.

To był też czas, w którym kolejny raz kapelan wyszedł sam z inicjatywą, tym razem konkretnie do mnie. Wahałam się czy go poprosić o sakramenty, bo znam trud ubierania i chodzenia w całym tym stroju, znam ryzyko każdego wejścia do strefy zakażonej. A on zapytał czy chcę, żeby przyszedł. Byłam mu za to bardzo wdzięczna. I jeszcze jedno. Dla tamtego kapelana pewnie to był dzień jak co dzień, a dla mnie – pozbawionej sakramentów z powodu epidemii na 2 miesiące - wyjątkowy.

Monika Boryń - lekarz

CYTAT NA DZIŚ

Bóg dał człowiekowi wolną wolę, więc nie może nikogo zmuszać do miłości, Jego trzeba wybrać. To jest paradoks: Wszzechmogący, który wszystkiego nie może. Przychodzi i prosi o miłość.

ks. Jan Twardowski



WSPÓLNOTA

Pismo Parafii św. Andrzeja Boboli w Rudzie Śląskiej - Wirku



UKAZUJE SIĘ OD 16 PAŹDZIERNIKA 1994 R.

11.X.2020 - 18.X.2020

Nr 32/2020(1125)

**CZAS DLA BOGA
– CZAS RADOŚCI!**

**NAJWIĘKSZYM DAREM
JEST OBECNOŚĆ**

Adoracja Najświętszego Sakramentu w naszej parafii po prostu jest. Słyszysz o niej co tydzień. Wiesz, że jest, ale czy akurat dla Ciebie? Inni pewnie chodzą, więc ja tam nie pasuję. Inni pewnie chodzą i wiedzą o niej więcej niż ja. Inni pewnie chodzą, tacy co to mają więcej czasu. Inni pewnie chodzą ... Są przecież inni ...



I tak być może mija jedna jedyna chwila w tygodniu, kiedy możesz zostać sam na sam ze swoimi myślami. Moment kiedy oczyszcza się umysł i otwiera na nowe. Chwila kiedy nikt od Ciebie nic nie wymaga, niczego nie oczekuje, tylko Cieszy się, że dałeś sobie chwilę czasu na post. Post bodźcowy. Ja trafiam tu sporadycznie. Zawsze jest to potrzeba chwili. Ale nie wyobrażam już sobie, że Adoracji w naszej parafii po prostu nie ma. Przyjdź i zobacz. Przyjdź i przeżyj. Przyjdź – nie odbieraj sobie tej chwili.

Parafianka

Adoracja Najświętszego Sakramentu w naszej parafii po prostu jest. Tak pisze nasza Parafianka w innym tekście tego wydania „Wspólnoty”. Jasia napisała do mnie... napisz.... Kiedyś mój spowiednik opowiedział mi krótką anegdotkę o tym, ile trzeba się modlić podczas adoracji w kościele. Otóż w pewnym zakonie był bardzo zapracowany brat. Miał 1000 obowiązków, ale pomiędzy nimi wpadał do kaplicy i mówił: „Cześć Panie Boże, to ja...” . Pan Bóg nie liczy nam czasu. Nie chodzi z kalkulatorem... On jest poza i ponad czasem. A adoracja jest nam tak bardzo potrzebna, jak bardzo za Nim tęsknimy. To jak z zakochanymi ;-) szukają każdej wolnej chwili, by chociaż na siebie popatrzeć. Podzielić się nawet małym osiągnięciem. Pomilczęć. I jak mówią Ojcowie Kościoła – modlitwa to spotkanie. To też wysiłek, by wyciszyć swoje myśli i posłuchać Boga... Jak? Najprościej – otworzyć Pismo Święte, a nawet w myśli, nie mając pod ręką Pisma, rozważyć jakieś spotkanie Jezusa tu na ziemi z innym człowiekiem bądź Jego cud, lub słowo... Co chciał nam powiedzieć? Tylko tyle. I wystarczy. Bo największym darem jest obecność. Moja – przed Nim – obecność. „Cześć Panie Boże, to ja...”

Adam

NA POLIGONIE WALKI Z KORONAWIRUSEM – ŚWIADECTWO LEKARZA I PACJENTA

/Poniższy tekst, to świadectwo pani Moniki – lekarki, wygłoszone 22.09.2020 r. w Katowicach do kapelanów szpitalnych./

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Zawszad dociera tyle informacji o koronawirusie, że każdy bez problemu może je odnaleźć. Dlatego nie będę o tym mówić. Będzie to bardziej osobiste świadectwo niż informacje medyczne.

Kierunek – Racibórz. Co dalej będzie?

Do pracy w Raciborzu zostałam skierowana z Urzędu na 3 miesiące. Było to w ramach akcji kierowania lekarzy do szpitali jednoimiennych. Pamiętam, że kiedy wyjeżdżałam tam w marcu wcześniej rano, wszędzie leżał śnieg. Gdy wracałam, była już pełnia lata. Jechałam z różnymi obawami, nie mając pojęcia co mnie czeka, niewiele wtedy było wiadomo o tej chorobie.

Ale kiedy wróciłam, ze zdziwieniem odkryłam, jakby inną rzeczywistość; życie toczy się normalnie, wszyscy zachowują się swobodnie, znajomi nie mieli kontaktu z nikim chorym. I tak sobie myślałam: czy ja coś przeoczyłam? Nie ma pandemii?

Kilkaset łóżek pełnych cierpienia.

Mieszkałam na terenie szpitala, na tyłach bloku operacyjnego, w pokoju, w którym było tylko łóżko, stolik i krzesło. Pracowaliśmy po 24 godziny, bo było nas mało. W trybie dyżurowym, czyli po 1 lub 2 lekarzy na oddział. Potem dzień przerwy i znowu 24 godziny. Kiedy tam przyjechałam, dopiero zaczynało w szybkim tempie przybywać chorych. Kolejne oddziały otwierały się i ku naszemu przerażeniu w kilka dni się zapełniały. Gdy wchodziło się na oddział, gdzie leżało kilkadziesiąt zakażonych chorych, to miało się wrażenie, że powietrze jest gęste od wirusa jak zupa.

Było nam ciężko – nam, lekarzom. Zwłaszcza na początku, gdy nie było osocza, nie było leków, w zasadzie był tylko tlen, a potem respirator, spod którego praktycznie nikt żywy już nie wychodził. Patrzyliśmy nieraz bezradnie, jak stan chorego z dnia na dzień się pogarsza i w zasadzie nie ma mu jak pomóc. W klasycznym przebiegu choroby umierali w mechanizmie niedotlenienia, duszenia się, tracąc powoli świadomość. Na naszych oczach.

Odwiedzin nie było, więc późnymi wieczorami dzwoniły zapłakane rodziny tych najczęściej chorych, którzy już nie odbierali telefonu. Czasem będąc przy chorym wykrecałiśmy w jego telefonie numer do rodziny, żeby mogła mu powiedzieć parę słów. Czasem to były też ostatnie, pojedyncze słowa chorego do nich, na parę dni przed śmiercią. Świadome ostatnie pożegnania.



Były też całe rodziny zakażone i wtedy kładliśmy je na jednej sali. To nie zawsze kończyło się dobrze. Córce na rękach umierała mama, mężowi żona...

Samotność i odwiedziny Jezusa

Na początku nasz kapelan zadzwonił do każdej dyżurki lekarskiej w szpitalu, przypomniał o sobie, swój numer telefonu. I to było ważne. Dla nas - lekarzy. Ten jego numer i imię zapisane na tablicy na ścianie dyżurki przypominały o czymś ważnym. Mój oddział był pierwszym, który zdecydował się wezwać go do strefy zakażonej. Towarzyszyłam mu ten pierwszy raz, dla jego bezpieczeństwa i dla dodania odwagi. Na kolejnych salach zapowiadałam, że przyjdzie ksiądz. I naprawdę było widać, jak zmienia się atmosfera: ludzie byli wzruszeni, przejęci, czekali. Bo tutaj izolacja, nikt nie może wejść ani wyjść, odcięci od rodziny, perspektywa samotnych Świąt. A tu taki Gość.

To pokazało coś ważnego. Że przyzwyczajamy się do tego, co mamy pod ręką, na co dzień. Do obecności kapłana, nawet do samej Komunii świętej. A tam, gdy tej posługi na początku brakło, okazało się, jak jest bardzo potrzebna.

Życie obecne kontra życie wieczne.

Pamiętam jak kiedyś ratowaliśmy pewnego chorego. W zasadzie wiedziałam, że się nie uda. Raczej chodziło o to, aby mu ulżyć w silnej duszności i lęku i dać jeszcze trochę czasu. Wezwaliśmy też pilnie kapłana. Tlen, kroplówki, leki, ciśnienie, bieganina – trochę pomogło. Gdy wszedł kapelan, odsunęliśmy się wszyscy – teraz chory należał do niego. Stojąc w tyle za nim, czułam się przy nim taka mała. Bo uświadomiłam sobie, że ja ratuję tylko to życie doczesne, a on wieczne...

Kilka godzin później chory zmarł.

Bilet do Nieba.

Któregoś poranka ujrzałam na swoim oddziale mojego dobrego znajomego. Starszego człowieka, niewierzącego, który całe życie źle wyrażał się

o Kościele, powiedział oficjalnie, że po jego śmierci nie chce nawet Mszy Pogrzebowej. Żył jak chciał, nie najlepiej. A teraz leżał zakażony, w ciężkim stanie, na granicy przytomności. Nie wiem, na ile świadomie wtedy zgodził się na sakrament chorych i go przyjął, może już nie do końca wiedział, na co się godzi. Zmarł 2 dni później spokojnie, pogodny, po chwilowej spektakularnej poprawie, którą trudno czymkolwiek uzasadnić. Powiedziałam potem jego wierzącemu synowi, że dostał „bilet do nieba”.

Pandemia: jest czy nie?

Jest coraz więcej głosów buntu przeciw restrykcjom i samej pandemii. Pewnie sprzyja temu duży odsetek zakażeń bezobjawowych.

Jeśli ktoś nie dowierza w skalę problemu, to pewnie go nie przekonam. Może i ja bym nie dowierzała, gdybym tam w Raciborzu nie była. Ciężko chorych na